

# Depopulacja czy ograniczenie wzrostu?

*Okruchy ekozoficzne*

Jeśli ktoś nie lubi ekologów, zawsze może przypisać im złe intencje i wytoczyć zarzut o naprawę sporym kalibrze – dążenie do depopulacji. Rozumowanie jest naiwnie proste: przyroda jest zagrożona przez człowieka, a im więcej ludzi, tym więcej zagrożeń. Ludzi zaś jest dzisiaj aż nadto, a będzie jeszcze więcej. Jeśli tak, to jedynym sposobem rozwiązania problemu jest zmniejszenie liczby ludzi. Redukcja populacji kojarzy się oczywiście jak najgorzej. Znamy z historii przypadki, kiedy dokonywano ludobójstwa, eliminując całe narody zgodnie z założonym wcześniej planem. Dzisiaj, jak podejrzewają niektórzy, ten koszmar odżywa w postaci rzekomych intencji ekologów, którzy jakoby nienawidzą rodzaju ludzkiego i dążą do jego eksterminacji. Prawdziwa depopulacja jako się rzekło.



Ludzie. Fot. Ryszard Kulik

Co bardziej oczytani odwołują się przy tej okazji do platformy głębokiej ekologii, czyli ośmiu punktów sformułowanych przez Arne Naessa i George Sessionsa – czołowych przedstawicieli tego nurtu filozoficznego. W czwartym punkcie tej platformy czytamy: „Rozwój pozaludzkich form życia wymaga zahamowania wzrostu liczebności populacji ludzkiej. Rozkwit życia i kultury człowieka daje się pogodzić z takim obniżeniem”.

Czy znajdujemy tutaj nawoływanie do depopulacji? Bynajmniej. Mowa jest wyłącznie o zahamowaniu wzrostu liczebności populacji. To zaś oznacza, że autorzy nie sugerują eliminacji ludzi żyjących

obecnie, ale ograniczenie przyrostu naturalnego. Przypisywanie ekologom zamiarów depopulacji jest więc albo niechlujstwem intelektualnym albo świadomym oszczerstwem. Tak czy owak i jedno i drugie nie znajduje potwierdzenia w faktach.

Postulat ograniczenia wzrostu populacji nie jest wyłącznie domeną ekologów. Dzisiaj mało kto cieszy się z rosnącej ludzkiej populacji. Gdy na świecie pojawił się 7-miliardowy przedstawiciel naszego gatunku, ówczesny sekretarz generalny ONZ Ban Ki-moon odmówił nawet pamiątkowego zdjęcia, gdyż, jak powiedział: „gwałtowny wzrost populacji ludzi nie jest powodem do świętowania. Oznacza to bowiem więcej głodujących i chorujących osób”. Zarówno ONZ, jak i wiele krajów (szczególnie rozwijających się), podejmują sporo działań, by zahamować rzeczony wzrost. Programy kontroli urodzeń wykorzystują różnorodne środki od tych najbardziej miękkich, jak edukacja seksualna po najbardziej radykalne, jak prawne limity liczby dzieci na rodzinę czy sterylizacja.

Dzisiaj mało kto neguje potrzebę zahamowania wzrostu ludzkiej populacji. Spór raczej dotyczy metod, jakimi ma się dokonać to zahamowanie. Pośród różnych argumentów bardziej lub mniej naukowych samo życie pokazuje, które metody są najbardziej skuteczne. Otóż mniej dzieci rodzi się tam, gdzie ludzie wychodzą z ubóstwa. Dużo dzieci rodzi się tam, gdzie panuje bieda. Ten podstawowy mechanizm jest niezależny od kultury czy religii. W biednych krajach to dzieci są prawdziwym bogactwem: od wczesnych lat życia pracują jak dorośli i zwiększają szansę przetrwania całej rodziny. Są też „kapitałem emerytalnym” na przyszłość dla starych rodziców. Odwrotnie w krajach bogatych: dzieci nie pracują, a ich utrzymanie i wychowanie wiąże się z dużym obciążeniem budżetu domowego. Nie pełnią też funkcji emerytalnej, gdyż państwo bierze na siebie ten obowiązek.

Jeśli chcemy, by rodziło się mniej dzieci, to musimy zapewnić awans cywilizacyjny najbiedniejszym społeczeństwom. Ale w tym momencie napotykamy kolejny problem. Jeśli biedne kraje zaczną się bogacić, to z czasem prawdopodobnie będzie rodzić się mniej dzieci, ale za to obciążenie dla środowiska będzie relatywnie większe z powodu rosnącej konsumpcji. Ziemia nie uniesie ciężaru życia kolejnych miliardów ludzi na poziomie klasy średniej.

Prawdopodobnie najlepiej dla nas wszystkich byłoby spotkać się w połowie drogi: my – bogaci powinniśmy nauczyć się żyć skromniej, a ci biedni wyjść ze skrajnego ubóstwa. Mniej biedy i zrównoważona konsumpcja. Sprawiedliwość i solidarność – hmm, brzmi jak prawdziwa bajka.

Jednak jeśli ta wizja się nie spełni, prawdopodobnie czeka nas prawdziwa depopulacja o zasięgu przyprawiającym o trwogę. Załamanie się usług ekosystemowych pod ciężarem rosnącej populacji i konsumpcji jest bowiem prostą drogą do samozagłady. Ograniczanie wzrostu ludzkiej populacji i ograniczanie wzrostu szaleńczej konsumpcji, co postulują ekolodzy, jest więc działaniem nie tylko dla przyrody, ale przede wszystkim na rzecz ludzkiego gatunku. Ci, którzy tego nie widzą, nie rozumieją albo nie akceptują, stają się (nieświadomymi najczęściej) rzecznikami grożącej nam depopulacji.

Ryszard Kulik